

JACEK CIEŚLAK

Rafał Zawierucha mówi o najnowszym filmie Quentina Tarantino, w którym zagrał Romana Polańskiego.

GRECHUTA, A POTEM BOND

🦋: Margot Robbie, Al Pacino, Brad Pitt, Leonardo DiCaprio to filmowa paczka, w której udział jest marzeniem. Ale czy znał pan tę obsadę „Once Upon A Time In Hollywood”, najnowszego filmu Quentina Tarantino, dowiadując się, że wygrał pan casting na rolę Romana Polańskiego?

Tak, startowałem, mając świadomość, że na planie nowego filmu Tarantino spotkam wszystkich świętych z Hollywood. Na szczęście nie byli dla mnie konkurencją! Może kiedyś będą, ale na razie muszę jeszcze dużo się nauczyć i pracować. Sodówka, mam nadzieję, mi nie odbija i staram się mieć dystans do siebie.

Jak wyglądał casting?

Najpierw otrzymałem do podpisania umowę z klauzulą poufności. Do dziś nie wiem, kto oprócz mnie brał udział w castingu, ale cieszę się, że to ja go wygrałem. Dostałem do przygotowania sceny do nagrania. Teraz to łatwiejsze niż kiedyś, bo wskazówki dotyczące przygotowania do castingu można znaleźć w mediach społecznościowych. Czasami my, aktorzy, chcemy dać z siebie więcej, niż trzeba. Tymczasem mniej to więcej. Potem informacja o tym, że zostałem zaakceptowany, przyszła w zabawnych okolicznościach: skręcałem łóżko w mieszkaniu na wynajem.

Był pan pewny sukcesu?

A jeśli tak, to co mam powiedzieć? Skręcałem więc łóżko, miałem do pokonania dwieście śrubek, dysponując jedynie śrubokrętem, bo tym razem nie pożyczyłem od brata wkrętarki. Po trzech, czterech godzinach zrobili mi się na palcach odciski, a tu nagle telefon z informacją, że „biorą mnie”. To był pierwszy sygnał. Potem, kiedy przebywałem w Austrii i na Węgrzech kręcąc program „Europa filmowa” dla Canal + Discovery, agent poinformował mnie o kontrakcie i dacie wylotu. Po kolejnym nagraniu w Szkocji miałem na zapakowanie bagaży zaledwie trzy godziny. Spotkałem się wtedy na chwilę z rodzicami, a zaraz potem pod dom, gdzie mieszkam w Warszawie, podjechała... limuzyna. Moja mama była w szoku. Zapytała: „To ty teraz będziesz takim jeździł samochodem?”. Odpowiedziałem: „Mamo, to jest wynajęte przez produkcję w Stanach!”. W drodze na Okęcie okazało się, że na lotnisku jest alarm bombowy, a ja powiedziałem do kierowcy: „Niech się pan nie martwi, ja tak mam zawsze: Zawierucha jestem, a nazwisko zobowiązuje!”. Po wielu perypetiach doleciałem do Los Angeles. Na lotnisku czekała na mnie asystentka, która pomagała mi we wszystkich formalnościach. A po dwóch dniach, w tym przymiarkach kostiumów, poznałem ekipę producencką z Sony Pictures – ludzi niezwykle ciepłych i przyjaznych.

Zagrał pan w „Księstwie” Andrzeja Barańskiego młodego Polaka, który chce się wybić i przekroczyć rodzinne ograniczenie, że są jednak jak fatum. W Hollywood musiał pan naprawdę przekroczyć nieprzekraczalną dla polskich aktorów granicę. Co się działo w pana głowie?

Dobrze, że pan wspomniął o „Księstwie”, bo to była dla mnie jedna z najpiękniejszych aktorskich prac, a jednocześnie wspaniałe spotkanie z Andrzejem i Albiną Barańskimi. Mój filmowy bohater pochodził z Kielecczyny, ze środowiska, które od lat rządzi się

swoimi prawami. Chciał się wyrwać, co mu się nie udało. Ja też jestem z Kielc, choć urodziłem się w Krakowie. Dziś wiem, że „Księstwo” było dla mnie jak przygotowanie do dalszych ról, motywowało do tego, by przekraczać kolejne granice i sięgać dalej. Miałem przecież zawirowania i dziury w życiorysie, o czym publicznie szerzej nie mówię. Ale kiedy nadarzyła się okazja, żeby spełnić aktorskie marzenie, to co miałem zrobić? Zabrałem do Hollywood krówki ciagutki!

Wyjątkowość pana sytuacji polegała na tym, że jako jedyny na planie nie był pan native speakerem.

To prawda. Ale wszystko układało się w naturalny sposób. W niedzielę zostałem zaproszony do biura, gdzie Quentin ma w zwyczaju wyświetlać dla swoich aktorów, jeśli jest na to czas, jeden z jego ulubionych filmów. W tamtą niedzielę wybrał „Wielką ucieczkę” ze Steve'em McQueenem, bo przecież, jak wiadomo, uwielbia klasykę i westerny. O polskim kinie też wie dużo. Nie tylko o Polańskim – również o Wajdzie i Hoffmanie. Byłem już w sali projekcyjnej, gdy weszły do niej dwie piękne kobiety. Jedną z nich była Margot Robbie, która gra Sharon Tate. Pomyślałem, że trzeba brać byka za rogi i powiedziałem: „Cześć, jestem twoim mężem!”. Odpowiedziała miłym przywitaniem. Potem poznałem Emile'a Hirscha. A chwilę później poczułem, że jest w sali jeszcze ktoś inny. Odwróciłem się i zobaczyłem Quentina Tarantino we własnej osobie, który powiedział: „Cześć, Rafał, świetnie, że tu jesteś. Witam cię w rodzinie Tarantino!”. Kto w świecie aktorskim odrzuci takie zaproszenie? Tym bardziej że

Quentin jest obecny na planie przy każdym ujęciu. Mówi do aktorów: „To już mamy, to było super, ale zrobimy jeszcze jedno ujęcie, bo...”, a wtedy resztę dopowiada chóralnie ekipa: „Bo kochamy robić filmy!”.

Jakie ma pan wspomnienia ze spotkania z DiCaprio?

O tym, co konkretnie działo się na planie, nie mogę mówić. Zobaczmy to w filmie. Nie wiem też, jak jest w Hollywood poza rodziną Quentina Tarantino. Przebywając właśnie z nią spotkałem się z bardzo miłą obyczajowością, niesamowitymi ludźmi z obsady i planu. Margot Robbie wytworzyła wspaniałe koleżeńskie relacje. A wszystko to odbywało się w pejzażu, gdzie cały czas – na rogu każdej ulicy Los Angeles – czujesz się jak na filmowym planie znanym z setek filmów. Przez półtora miesiąca poruszałem się tam na rowerze, żeby poznać miasto jak własną kieszeń. Jestem zafascynowany Hollywood. Oczywiście, jak się tam żyje dłużej – poznaje się być może i ciemną stronę. Pewnie wszystko może się wydarzyć z sekundy na sekundę, z dnia na dzień. Co będzie dalej? Nie wiadomo. Film jest w produkcji i przypomina dziecko, które szykuje się do porodu. Dla mnie jest już magiczne to, że mogę mówić o pracy z Tarantino, tak jak Christoph Waltz, Uma Thurman czy Tim Roth, rzecz jasna, nie porównując się z nimi.

Był pan w Hollywood trzy miesiące, a granie epizodu chyba tyle czasu nie zajmuje?

Nawet gdybym miał powiedzieć tylko „Yes, sir” na planie u Tarantino – wszedłbym w to. Oczywiście, było coś więcej. Nie mogę jednak powiedzieć nic ponad to,



MAT PRAS.

że rzecz dzieje się w Hollywood w latach 1968–1969, o czym reżyser mówił już w wywiadach.

Rzecz jest osnuta wokół sprawy sekty Mansona i zbiorowego zabójstwa m.in. Sharon Tate?

Reżyser tak prezentował film. Damon Herriman gra Mansona, jego wątek jest poruszony, ale film opowiada o Ricku i Cliffie – aktorze oraz jego dublerze w Hollywood. To są postaci absolutnie fikcyjne. Więcej dowiemy się w przyszłym roku podczas premiery.

Jak się pan przygotowywał do roli Polańskiego, który ma złożoną biografię?

Od momentu, gdy dowiedziałem się, że jest casting, rzuciłem się na wszystkie możliwe źródła biograficzne, oglądałem filmy, m.in. „Lokatora” i „Chinatown”. Przeczytałem dwukrotnie angielską autobiografię „Roman by Polański”. To niesamowity materiał poznawczy. Oglądałem też wywiad Dicka Cavetta z 1971 r., w którym Polański opowiadał o tym, jak zbierał w lesie jagody, usłyszał dźwięk komarów, a potem bombardujących samolotów. W tym obrazie zawiera się dramat gwałtownego przejścia od dzieciństwa do piekła wojny. Kiedy dostałem taki materiał, nakręcony w trzy lata po wydarzeniach, które są w filmie Tarantino – miałem mocną bazę wyjściową. Uwielbiam taką pracę, gdy jest czas na wchodzenie w postać. Gdy przygotowywałem się do „Bogów”, spotkałem się z doktorem Cichoniem, chciałem zobaczyć, jak się zachowuje, mówi, porusza.

Wyskoczył pan z naszej rzeczywistości. Co dalej?

Rozmawiamy dwa dni po moim powrocie do Polski, ale apetyt rośnie w miarę jedzenia. Chciałbym zagrać w „Bondzie”, coś napisać, wyprodukować. Chciałbym zagrać Grechutę. Mam wiele marzeń. Wierzę, że to, co ma się zdarzyć w moim życiu, będzie się działo. Jak mówią w Hollywood: tylko bez ciśnienia, z oddechem, delikatnie. To jest moja obecna recepta na życie, obecny stan ducha. Widziałem się już z Maciejem Englertem, dyrektorem mojego macierzystego Teatru Współczesnego w Warszawie. Jest to od sześciu lat mój drugi dom, moja druga rodzina. Krzysztof Kowalewski, Borys Szyk i młodszy koledzy wspierali mnie mocno. W zeszłym roku zorganizowałem we Współczesnym zespołową wigilię, pierwszą w teatrze od wielu lat. Było super. Teraz koledzy żartują: „Nie musisz, Zawierucha, wracać, bylebyś wigilię zorganizował!”.

Co pana uformowało najmocniej?

Rodzina. Moi rodzice od 18 lat prowadzą rodzinny dom dziecka. Po odchowaniu trójki mojego rodzeństwa i mnie non stop mają ósemkę dzieci.

To musi od nich emanować nieskończone dobro, ale jak pan to przyjął, bo dzieci są jednak egoistyczne i zaborcze?

Strajkowałem. Przez dwa tygodnie chodziłem z tabliczką na piersi z napisem: „Nie odzywam się do was”. Potem dojrzałem do sytuacji. Poszedłem też własną drogą – liceum, kółko teatralne. A dziś coraz częściej myślę o tym, żeby dzielić się sobą albo przynajmniej wiedzą, że można to robić. Rodzina mobilizowała mnie także w inny sposób. Mama mówiła, że bym szedł na prawo, bo z aktorstwa nic nie będę miał. Uwielbiam Norwida, zaczytywałem się nim, więc zmieniając nieco akcenty jego wiersza o niewolnikach, którzy skrzydłami zamiatają chodniki – odpowiadałem, że nawet jak będę musiał zamiatać chodnik przed teatrem – to będzie to przy miejscu, o którym marzę.

Norwid to nie jest typowe dzisiaj hobby.

Spodobało mi się to, że współcześni go nie rozumieli. Umierając, powiedział: „Przykryjcie mnie”, a potem trzeba było go odkryć na nowo. Na grób Norwida zabrał mnie wuj, który mieszka we Francji. Miałem wtedy sześć lat. A na grobie przeczytałem jego wiersz.

Kto był pana mistrzem w Akademii Teatralnej?

Maja Komorowska, Zbigniew Zapasiewicz, Wojciech Pszoniak. Ale moim idolem, o którym napisałem pracę magisterską i na którym się wzoruję, jest Tadeusz Łomnicki. Fascynuje mnie jako aktor transformacyjny, który często zmieniał swą fizyczność, charakteryzował się. A wie pan, co mi powiedział Andrzej Wajda na planie „Powidoków”? „Pan, panie Rafale, mógłby zagrać młodego Łomnickiego”. Na razie zagrałem jego przyjaciela Romana Polańskiego, ale proszę dać mi czas. ©©